

Prądnik. Prace Muz. Szafera	32	305–310	2022
-----------------------------	----	---------	------

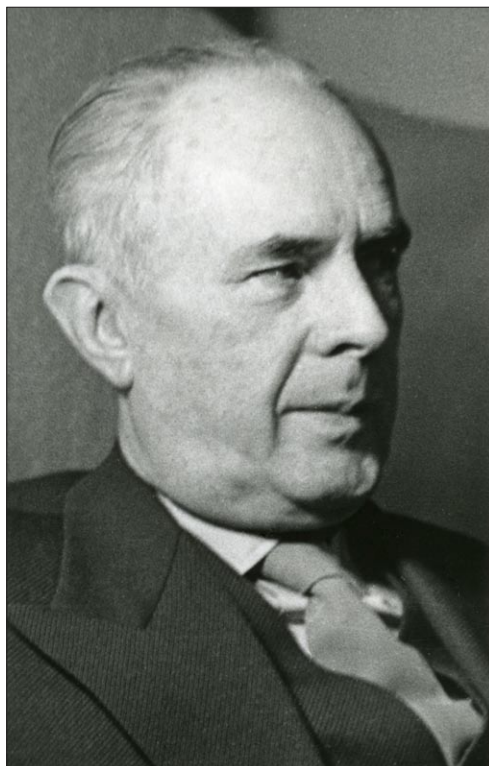
JADWIGA CHRZAŚTOWSKA

DZIADZIO WALERY GOETEL I JA. WSPOMNIENIA WNUCZKI

Grandpa Walery Goetel and me. Memories of a granddaughter

Dziadzio. Nigdy nie mówiłam i nie mówię o nim do dziś dziadek. Jak byłam całkiem mała mówiłam: „idę do dziadzia”, „porozmawiam z dziadziem”, „to mój dziadzia”. Dziadzio natomiast mówił do mnie „Kuka”. Nie wiem skąd się to wzięło, może z zabawy w „A kuku” (zasłanianie oczu i ich odsłanianie i mówienie „A kuku”), a może stąd, że gdy chciałam wejść do pokoju dziadzia przez uchylone drzwi wołałam „A Kuku”. Bardzo mi się to podobało i lubiłam to zdrobnienie (fot. 1).

Dziadzio, gdy się urodziłam w 1956 r., miał już 67 lat i był bardzo zapracowanym człowiekiem. Nie był takim zwykłym, kochanym dziadkiem, który bierze za rękę i idzie na spacer z wnuczką na Planty lub na wystawę do muzeum lub do kina albo teatru. Był kochany w inny sposób. Pomimo swego zapracowania zawsze znajdował czas, aby dowiedzieć się, co u mnie słychać. Uwielbiałam się wdrapywać na jego kolana i przytulać się do jego marynarki lub swetra (dziadzio nawet w domu nosił marynarkę). I zawsze pachniał jedną i tą samą wodą kolońską. Był również gładko ogolony i wyprostowany. Takim go pamiętam (fot. 2 i 3).



Fot. 1. Dziadzio Walery Goetel (1889–1972). Ze zbiorów rodzinnych Jadwigi Chrząstowskiej

Photo 1. Grandpa Walery Goetel (1889–1972). From the family collection of Jadwiga Chrząstowska

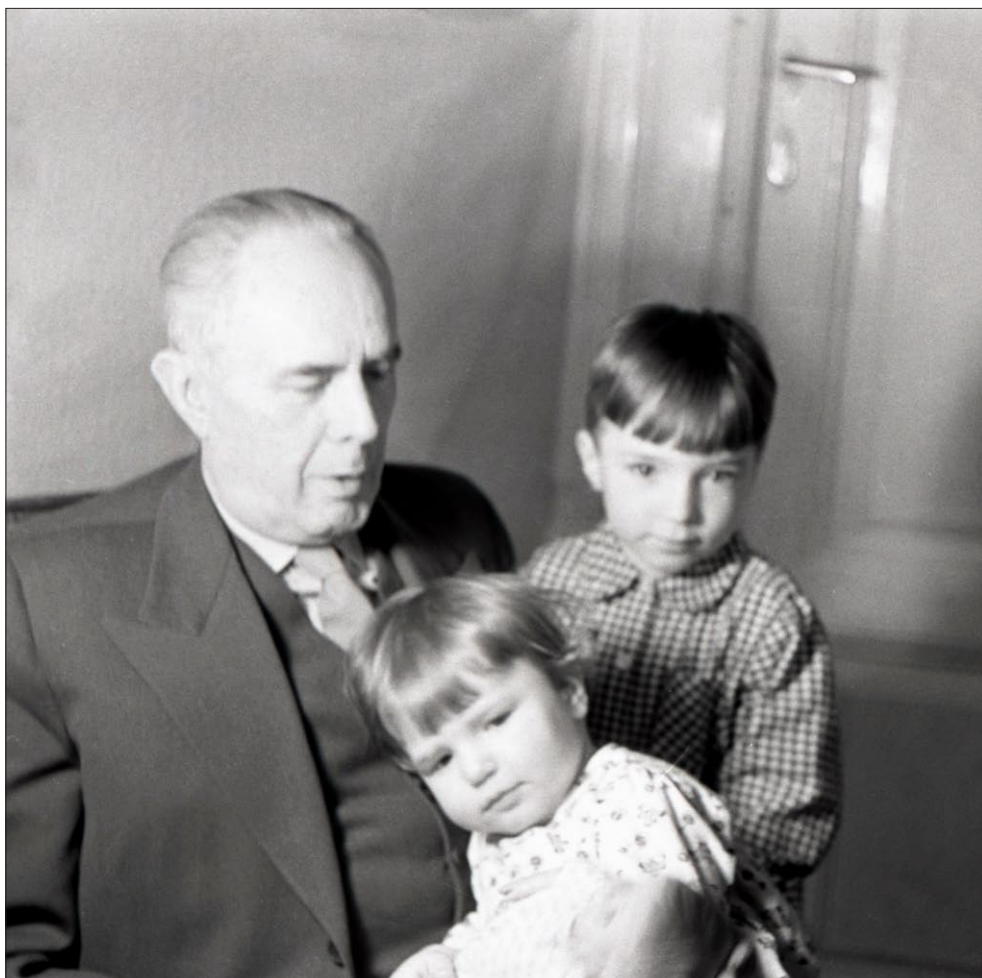


Fot. 2. Walery Goetel i wnuczka Jadwiga z ukochaną lalką „Zosią”. Ze zbiorów rodzinnych Jadwigi Chrząstowskiej

Photo 2. Walery Goetel and granddaughter Jadwiga with her beloved doll „Zosia”. From the family collection of Jadwiga Chrząstowska

Dziadzio, aby móc pracować tak intensywnie i sprostać wszystkim obowiązkom, wynikającym z jego zaangażowania w wiele spraw, utrzymywał czasową dyscyplinę. Dzień zaczynał około 7.00 rano. O godz. 7.30–8.00 jadł śniadanie. Od godz. 8.30–9.00 zaczynał pracę. Jechał na AGH lub pracował w domu. Na jego wykładach sala pękała w szwach. Zajęcia zaczynały się i kończyły z zegarkiem w ręku. O godz. 14.00 był obiad w domu. Po obiedzie obowiązkowa godzinna drzemka. Godziny popołudniowe spędzał na spotkaniach ze znajomymi lub oficjalnych wyjściach. O godz. 19.00–19.30 jadł kolację. Później rozmowy rodzinne, planowanie zajęć na następny dzień i sprawdzanie, co go czeka w tygodniu. Lektura. Godzina przeważnie 22.00 – odpoczynek nocny.

W związku z takim harmonogramem dnia moje życie domowe również temu było podporządkowane. W trakcie wspólnych posiłków mogłam rozmawiać z dziadkiem na różne tematy, między innymi o przyrodzie, o jego podróżach i o tym, co będę robić lub co robiłam w danych dniach. Dziadzio zawsze bardzo interesował się moimi sprawami. Ponieważ miałam zdolności muzyczne, plastyczne i teatralne, często pytał i sprawdzał, co jakiś czas, moje postępy. Grałam na pianinie i czasami przychodził posłuchać jak ćwiczę. Z tekstami piosenek i wierszami zawsze chodziłam uczyć się do niego. Bardzo zwracał mi uwagę na prawidłową dykcję, akcent i wymowę tekstu. I pewnie z tego powodu, w szkole byłam często wybierana do publicznego śpiewania piosenek i recytowania wierszy. Bardzo to zresztą lubiłam. Pamiętam również jak, w pewnym roku, dziadzio był obecny na



Fot. 3. Walery Goetel z wnuczką Jadwigą i wnukiem Piotrem. Ze zbiorów rodzinnych Jadwigi Chrząstowskiej

Photo 3. Walery Goetel with granddaughter Jadwiga and grandson Piotr. From the family collection of Jadwiga Chrząstowska

moim zakończeniu roku w Ognisku Muzycznym. Zawsze na koniec odbywał się tzw. koncert popisowy i dziadzio, po moim występie, bardzo mi gratulował ładnej gry na pianinie (fot. 4). Byłam dumna.

Do dziadzia przychodziło do nas do domu bardzo dużo znajomych gości. Gdy to był ktoś, kto mnie znał, dziadzio wołał mnie i prosił, abym coś zaśpiewała lub przedstawiła. Pamiętam m. innymi wspomniałam naszą krakowską aktorkę p. Halinę Gryglaszewską, przed którą odgrywałam jakieś wymyślone na poczekaniu scenki teatralne. Nigdy też nie zapomnę wizyty, na którą zabrał mnie do domu państwa Puchalskich. Miałam wtedy okazję oglądać tam mnóstwo wspaniałych zdjęć przyrody wykonanych przez gospodarza domu.



Fot. 4. Koncert popisowy w 1966 roku na zakończenie roku szkolnego w Państwowej Szkole Muzycznej przy ul. Basztowej w Krakowie. W środku Walery Goetel z wnuczką Jadwigą, z lewej Ewa Michnik, dyrektor Krakowskiej Opery (stoi z kwiatami), z prawej Kazimiera Treterowa, pianistka, nauczycielka Państwowej Szkoły Muzycznej. Fot. Edward Węglowski. Ze zbiorów rodzinnych Jadwigi Chrząstowskiej

Photo 4. A showpiece concert in 1966 at the end of the school year at the State Music School at ul. Basztowa in Krakow. In the middle, Walery Goetel with his granddaughter Jadwiga, on the left Ewa Michnik, director of the Krakow Opera (standing with flowers), on the right Kazimiera Treterowa, pianist, teacher of the State Music School. photo. Edward Węglowski. From the family collection of Jadwiga Chrząstowska

A nasze wspólne wyjście do Filharmonii Krakowskiej? Dziadzio uprosił moją mamę aby pozwoliła mi pójść z nim na koncert chóru, który przyjechał z Wiednia. Koncert odbywał się w związku z jubileuszem krakowskiego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Austriackiej. Dziadzio był jego Przewodniczącym. To był cudowny koncert i wspaniały wieczór. Po tym koncercie dziadzio został zaproszony przez przyjaciół do kawiarni „Ratuszowa” w Rynku Głównym. Miał się tam odbyć recital Ewy Demarczyk. Poszliśmy razem i było fantastycznie. Wróciliśmy do domu bardzo późno, około północy. No i trochę dostało się dziadziowi od mojej mamy. Była zdenerwowana, bo chodziłam wtedy do piątej lub szóstej klasy szkoły podstawowej. Ale było warto i nigdy nie zapomnę tych wrażeń.

Teraz parę słów o moim domu. Mieszkaliśmy wszyscy razem – dziadzio, moi rodzice, brat i ja. Nasze mieszkanie znajdowało się w samym centrum Krakowa, przy Rynku Kleparskim 5/2 na pierwszym piętrze. Na parterze był bar mleczny, z którego od czasu do czasu braliśmy, w razie jakiejś domowej awarii, obiady. W pobliżu naszej kamienicy

znajdował się fryzjer, do którego chodził regularnie mój dziadzio. Był zawsze strzyżony przez tego samego pana. Wiem, bo czasem chodziłam z dziadziem razem do tego zakładu, aby popatrzeć.

Rozkład naszego mieszkania wyglądał mniej więcej tak: wchodziło się do niego z klatki schodowej do I przedpokoju; po prawej stronie była łazienka, po lewej pokój jadalny. Z tego I przedpokoju przechodziło się na wprost do II przedpokoju, a z niego na prawo do kuchni, a na lewo do pokoju dziadzia. Z pokoju jadalnego można było również przejść do pokoju dziadzia na prawo, a na lewo do pokoju dzieciennego i dalej do tzw. ostatniego pokoju. Dzięki temu układowi miałam możliwość przebywania z dziadziem 24 godziny na dobę. On zaś mógł odseparować się w każdej chwili od reszty domowników i pracować w spokoju. Taki układ również pozwalał wszystkim mieszkańcom żyć i działać w miarę bezkolizyjnie. Gdy do dziadzia przychodzili goście, wchodzili do jego pokoju przez I i II przedpokój.

Dziadzio był najważniejszą osobą w naszej rodzinie. To dzięki niemu mogłam rozwijać swoje zdolności. Nad wszystkim jednak panowała moja mama, Wanda, córka Walerego. Mama nie pracowała zawodowo i to pozwalało jej prowadzić dom tak, aby dziadzio mógł tak intensywnie działać i trzymać się planu. Dzięki dziadziowi również mogłam spędzać wakacje i ferie szkolne poza Krakowem. Pełne dwa miesiące wakacji przebywałam przede wszystkim w górach, tylko przez cztery lata, zanim poszłam do szkoły, jeździłam nad nasze morze do Jelitkowa. W zimie natomiast na dwa tygodnie ferii wyjeżdżaliśmy zawsze w góry. Myślę, że to spowodowało, iż góry kocham i nie mogę bez nich żyć. Tak jak dziadzio.

Ważną dla mnie sprawą było również to, że w trakcie tych wyjazdów nigdy nie traciłam kontaktu z moim dziadziem. Już po pierwszych kilku dniach poza domem pisałam do niego listy lub kartki ze „sprawozdaniem” z tego co robię, gdzie byłam, co widziałam i kogo poznałam. Było to tak oczywiste z mojej strony, jak i to, że dziadzio zawsze odpisze i da mi znać, co w tym czasie on porabiał. Dziadzio też często wyjeżdżał z domu na różne konferencje, sympozja oraz spotkania w kraju i poza Polską. Zawsze przysyłał mi pozdrowienia z tych miejsc. Przywoził również z tych wyjazdów małe pamiątki dla mnie i reszty domowników. Do dziś mam malutki diamentowy pilniczek do paznokci z Wiednia i niewielka rzeźbę antylopy z młodym z jego pobytu w Nairobi.

Dziadzio, aby naładować organizm na nowo i przygotować go do dalszej wytężonej pracy naukowej, co roku cały miesiąc sierpień spędzał w Zakopanem w „Domu Sportu” (o ile dobrze pamiętam nazwę). Mógł w ten sposób być chociaż trochę w ukochanych Tatrach. Czasem tak się składało, że w tym samym okresie ja również przebywałam w Zakopanem na Groniku u zaprzyjaźnionej rodziny Walczaków. I nie mogło tak być, abym nie spotkała się chociaż parę razy w trakcie tego pobytu z dziadziem. Pamiętam, że za którymś razem dziadzio, będąc chyba w składzie jury, zaprosił mnie na występy zespołów góralskich, które grały, śpiewały i tańczyły w ramach Festiwalu Ziemi Górskich. Było to wspaniałe widowisko. Wrażenia zostały na długo. Muzyka góralska do dziś bardzo mnie porusza i wzrusza. A gdy usłyszę kapelę podhalańską, nogi same mi chcą „chodzić” i lży cisną się do oczu. W czasie takiego sierpniowego pobytu w Zakopanem odwiedził nas niespodziewanie w Szczawie w Gorcach i popłynęliśmy wtedy razem przełomem Dunajca.

A teraz trochę o przyrodzie. Przebywanie z dziadziem i jego i moje opowieści pod tytułem „Co w trawie piszczy” spowodowały, że bardzo się zrobiłam wrażliwa na to, co w tej przyrodzie się dzieje. Pamiętam, że dziadzio dostawał bardzo dużo różnych pism

i listów związanych z tą tematyką. No i oczywiście z ochroną tej przyrody. Miał wśród teczek, do których wkładał te pisma i listy, teczki z napisami: ochrona przyrody, kraj, świat, pilne i Parki Narodowe. Pomagałam mu w segregowaniu tej korespondencji – bardzo to lubiłam robić. Czułam się ważna, że pomagam i że robię coś ważnego.

I jeszcze na koniec tej mojej wspomnieniowej pisaniny. Moje ostatnie spotkanie z dziadziem. Był początek listopada 1972 r. Dziadzio leżał w łóżku, ponieważ coś się źle poczuł. Nazywało się, że grypa żołądkowa. Mieszkaliśmy już od dwóch lat w nowym miejscu w Krakowie przy ulicy Reymonta w osiedlu profesorskim AGH. Dzięki dziadziowi przenieśliśmy się do dwóch mieszkań. Na parterze mieszkał dziadzio, a na piętrze ja z rodzicami i bratem. Zaczęłam drugą klasę liceum ogólnokształcącego. I właśnie z moją klasą wybierałam się do Warszawy na wycieczkę. Tuż przed wyjściem z domu zbiegłam do dziadzia na dół i przez uchylone drzwi do pokoju pomachałam mu dłonią i powiedziałam jak zwykle: pa, pa, jak wrócę to wszystko opowiem. Był piątek. Wróciłam w niedzielę wieczór. Od progu czułam, że coś jest nie tak. Dowiedziałam się, że dziadzio jest w szpitalu. Miał zawał, ale jest lepiej. W poniedziałek poszłam do szkoły. Wróciłam do pustego mieszkania. Dopiero wieczorem wróciła mama i powiedziała mi, że dziadzio miał kolejny zawał i lekarze byli bezradni. Świat w tym momencie mi się zawalił. Nie mogłam uwierzyć w to, że już niczego nie opowiem dziadziowi. Miałam szesnaście lat i tyle jeszcze mogłam przeprowadzić z nim rozmów na różne tematy.

Dziadzio szanował wszystkich ludzi, bez względu na wykształcenie i pozycję materialną. Sam również nie był materialistą. I te wartości mnie przekazał.

Nigdy nikogo nie kochałam w swoim życiu tak, jak mojego dziadzia.